

ROZDZIAŁ 1

WARSZAWA

Piątek 14 grudnia 2012 roku

Niewielki ekspres do kawy stojący na kontenerze z szufladami w biurze prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej Jakuba Kania westchnął i opieszale zabrał się do pracy. Postępując, zagotował wodę pobraną z przezroczystego pojemnika, a następnie przepuścił ją pod ciśnieniem przez sprasowaną porcję arabiki, która według producenta zapewniała aromat baśni tysiąca i jednej nocy, co było dość intrygujące, skoro kawa pochodziła z upraw w Brazylii.

Jakub Kania otrzymał ekspres kilka tygodni wcześniej w prezencie na swoje czterdzieste drugie urodziny i na początku kompletnie mu nie ufał. Urządzenie nikczemnych rozmiarów wyglądało jak skrzyżowanie tostera z wyciskarką do owoców i parzyło kawę z kapsulek, co ewidentnie było wbrew porządkowi świata. Pewnego dnia Kuba uległ jednak pokusie, ostrożnie upił łyk kawy z kieszonkowego ekspresu i od tego dnia obroty w kawiarnianych sieciówkach w okolicach warszawskiej siedziby IPN-u przy ulicy Towarowej odnotowały spadki.

Dziś również przygotował sobie ulubione espresso i właśnie unosił je do ust, gdy codzienny rytuał nietaktownie zakłócił dźwięk telefonu stojącego na biurku. Ekranik powyżej klawiatury aparatu informował, że dzwoni Gabinet Prezesa, jakby pomieszczenie, w którym urzędował szef instytutu, potrafiło samodzielnie podnosić słuchawkę i wybierać numery. Jakub Kania wahał się przez chwilę, ale poczucie odpowiedzialności wzięło górę. Odstawił mikroskopijną filiżankę i odebrał połączenie.

– Witam, panie prokuratorze – sekretarka prezesa zaczęła z uprzejmą gorliwością, jakiej uczyła na szkoleniach z komunikacji, a zaraz potem już mniej oficjalnie dodała coś, co weszło w nawyk milionów użytkowników telefonów komórkowych: – Może pan rozmawiać?

Kuba popatrzył krzywo na filiżankę espresso i już chciał odpowiedzieć, że gdyby nie mógł, toby nie odebrał, jednak zabrzmiałoby to obcesowo. Nigdy nie był niegrzeczny wobec kobiet.

– Oczywiście, słucham panią.

– Jeśli nie jest pan teraz zajęty, to szef prosi – zakomunikowała sekretarka.

– W tej chwili? – upewnił się Kuba.

– Jeśli to możliwe, tak.

Prokurator potwierdził, że będzie za kilka minut, i przełknął kawę, zastanawiając się, o co może chodzić. Prezes wzywał do siebie wyłącznie w sprawach śledztw szczególnej wagi, a że Instytut Pamięci Narodowej ma zupełnie inny temperament niż wydział zabójstw w nowojorskim Bronxie, pośpiech, jaki dało się wyczytać z głosu sekretarki, musiał oznaczać coś niezwykłego.

Mężczyzna zajmujący jeden z foteli dla gości w gabinecie szefa miał około siedemdziesięciu lat, szczupłą twarz, siwe włosy sięgające ramion, wąskie usta i prosty nos, a na nim okrągłe okulary w dyskretnych metalowych oprawkach. Gdyby pokazać go w telewizji wraz z wiadomością, że John Lennon nie został jednak zastrzelony przez zamachowca i nadal żyje, opinia publiczna mogłaby w to uwierzyć. Podobieństwo było uderzające.

Kuba uściśnął podaną mu dłoń i z lekkim zdziwieniem zerknął na szefa, który w tej samej chwili przedstawił gościa:

– To jest ojciec Cyprian, jeden z czterech definitorów zakonu paulinów, sprawujących najwyższą władzę w tym zgroma-

dzeniu.

– Po ojcu generale – lojalnie uzupełnił długowłosego mężczyznę.

– Oczywiście – skwapliwie potwierdził prezes. – Po ojcu generale.

– Jestem zaszczycony. – Kuba spojrzał na zakonnika ze stu-procentowym przekonaniem, że bez tej informacji nigdy by się nie domyślił profesji starszego pana ubranego w spraną koszulę, szary sweter, wytarte sztruksowe spodnie nieokreślonego koloru i wsuwane zimowe buty o obcasach zdeformowanych przez dziesiątki, a może i setki kilometrów.

Wydało mu się, że człowiek tytułowany definitorem rozszyfrował zamaskowany sceptycyzm tego spojrzenia, ale uśmiechnął się blade i nie powiedział ani słowa.

– Ojciec Cyprian – wyręczył go szef – zwrócił się do nas w najwyższym zaufaniu z rekomendacji pana senatora – wymienił nazwisko mocno uduchowionego polityka – z pewnym... problemem.

Zwierzchnik Kuby szukał wzrokiem porozumienia z zakonnikiem, jednak ten wpatrywał się w swoje dłonie umieszczone na zwykłej kartonowej teczce leżącej na jego udach.

– Sprawa jest w najwyższym stopniu poufna. – Prezes ściszył głos. – Ale... to już może ojciec sam...

Definitor nie podniósł oczu. Powoli otworzył teczkę i zaczął wyjmować z niej arkusze papieru, kilka kartek formatu A4 z wydrukami informacji z portali internetowych, a po nich wycinki z gazet. Odwracał je w stronę prokuratora, jakby chciał ułatwić mu zadanie. Kuba skupił się na ekspresyjnym artykule „Faktu” sprzed kilku dni.

– „Zamach na Matkę Boską Częstochowską” – przeczytał głośno tytuł i spojrzał zaniepokojony na zakonnika. – Nic nie słyszałem
– wyjaśnił.

– To dobrze – uznał definitor.
– Dobrze? – zdziwił się Kuba.
– Tak. Nie chcemy wrzawy medialnej wokół tej sprawy. Oczywiście nie dało się wszystkiego ukryć przed dziennikarzami
– zakonnik serwował Kubie kolejne wycinki prasowe – ale im mniej publikacji, tym lepiej.

Prezes na wszelki wypadek kiwnął potakująco głową.

– Rozgłos to nic dobrego – dodał smutno ojciec Cyprian. – Od kiedy gazety zawarły przymierze, że nie będą pisać o fałszywych alarmach bombowych, liczba ich zgłoszeń bardzo zmalała. Ufam, że panowie o tym słyszeli. – Popatrzył pytająco na szefa IPN-u, po czym przeniósł to samo spojrzenie na Kubę.
– Szaleńcy wydzwanający z informacjami, że podłożyli ładunek wybuchowy w miejscu publicznym, rezygnują z tego pomysłu, bo nie przynosi on im sławy. Nie mogą karmić swojej chorej jaźni widokiem zdjęć w prasie, na których policjanci zamykają centrum handlowe albo budynek jakiejś instytucji, a saperzy w specjalnych kombinezonach sprawdzają obiekt. Media powinny być odpowiedzialne – uznał definitor. – Niestety...

– Gazety równie często przekręcają fakty. – Kuba postanowił zrećennie wykorzystać poglądy zakonnika. – Czy może ojciec powiedzieć, co rzeczywiście wydarzyło się w ubiegłą niedzielę na Jasnej Górze?

Siwowłosy paulin popatrzył na niego z aprobatą. Ponownie sięgnął do teczki i tym razem wydobył z niej niewielką kwadratową kopertę z foliowym okienkiem, przez które widać było znajdującą się wewnątrz płytę DVD. Ujął ją w dwa palce i uniósł jak oskarżyciel prezentujący w sądzie niezbity dowód przestępstwa.

– To nagranie z kamery ochrony. Nikt nie może się o nim dowiedzieć – zastrzegł. – Stacje telewizyjne by nas zamęczyły, naciskając na udostępnienie tego. Wyobrażacie sobie panowie,

jak autentyczna relacja z zamachu na Czarną Madonnę podniosłaby oglądalność? Dlatego pokazuję to tylko panom.

Definitor znów spojrzał w oczy szefowi IPN-u, a potem Jakubowi Kani i znajdując w nich akceptację warunków umowy o poufności, zapytał:

– Czy można to gdzieś odtworzyć?

Prezes wstał ze swojego fotela, bez słowa wziął kopertę z ręki zakonnika i wyjął płytę, przytrzymując ją palcem wskazującym tak, aby nie dotykać powierzchni zapisu. Następnie lekko się pochylił, otwierając szafkę, nad którą wisiał płaski telewizor. Wewnątrz znajdował się odtwarzacz DVD. Mężczyzna wolną ręką nacisnął klawisz wysuwający szufladę urządzenia, po czym ułożył na niej płytę z namaszczeniem kapłana podającego komunię. Odtwarzacz automatycznie ją połknął i w tej samej chwili ekran telewizora ożył.

Nagranie nie było najlepszej jakości, ale w półmroku kaplicy dało się zauważyć gromadkę kobiet przez obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Kamera wycelowana w ołtarz pokazywała je z tyłu. Jedne klęczały wyprostowane, niemal wyprężone w religijnym uniesieniu, z dłońmi złożonymi do modlitwy i twarzami zwróconymi w stronę cudownego obrazu, inne skulone ze wzrokiem wbitym w posadzkę, jakby uginały się pod ciężarem prośb. Wszystko działo się w ciszy. Urządzenie nie rejestrowało dźwięku, tylko czas. Licznik w prawym dolnym rogu ekranu, obracający pierścienie z ułamkami sekund, sekundami, minutami i godzinami, pokazywał 7.56.

Nagle pątniczki roztrąciła jakaś siła. Jeszcze nie było jej widać, ale za moment zmaterializowała się w postaci mężczyzny przeciskającego się w stronę ołtarza. Pokonał sznur oddzielający go od wiernych, ściągając z ramienia torbę. Wydobył z niej ciemne kule wielkości piłki tenisowej. Przez chwilę ważył je w dłoni, celował, a potem zaczął rzucać w obraz. Jedna z nich eksplodowała na twarzy Czarnej Madonny, po której ściekała teraz smolista substancja.

Kuba nie wytrzymał. Zdecydowanym ruchem sięgnął po pilota leżącego na stoliku i wybrał przycisk pauzy. Nagranie zastygło w scenie grozy, podobnie jak ręka zamachowca podniesiona na największą polską świętość.

Zakonnik z prezesem jak na komendę popatrzyli na niego zdumieni i oburzeni, jakby popełnił świętokradztwo gorsze od tego zarejestrowanego przez kamerę.

– Przepraszam – usprawiedliwił się prokurator. – Ale czym ten człowiek rzuca?

– Policja wydała oświadczenie, że szklanymi bańkami wypełnionymi czarną farbą nitro – powiedział definitör. – Jednak to były żarówki.

– Żarówki? – Kuba lekko uniósł się w fotelu.

– Tak – potwierdził zakonnik. – Po wszystkim znaleźliśmy pod ołtarzem metalowe końcówki z gwintami.

Twarz Kuby przybrała wyraz skupienia.

– Ale jak wlać farbę do żarówek? – spytał.

Ojciec Cyprian popatrzył wymownie na jego przełożonego.

– No właśnie – rzekł po chwili namysłu. – Oczywistych pytań, których nie zadano w tej sprawie, jest więcej. Odnosimy wrażenie, że policja przeprowadziła dochodzenie niezbyt wnikliwie.

– Niezbyt wnikliwie? – Kuba wszedł mu w słowo. – Przecież

– wskazał ręką leżący na stoliku artykuł „Faktu” – ujęli sprawcę i wyjaśnili przyczyny zamachu.

– Tak jest – zgodził się zakonnik, ale była w tym stwierdzeniu jakaś pretensja. – Prowadzący śledztwo orzekli, że człowiek, który zaatakował obraz, owładnięty jest obsesją religijną. Od kilkudziesięciu lat podkreśla swoją wrogość wobec rzeźb i malowideł sakralnych, a zwłaszcza wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, nazywając go „bałwanem paulinów”. Widziałem materiały z przesłuchań. Zamachowiec powtarzał wielokrotnie, że celowo przyjechał z Dolnego Śląska, aby znisz-

czyć obraz, i jest dumny ze swojego czynu.

– O co zatem chodzi?

Definitor wbił w Kubę wzrok.

– Widzi pan, policja, biegli psychiatrzy i chyba wszyscy w Polsce są przekonani, że ten człowiek działał z pobudek nienawiści. Tymczasem on utrzymuje, że zrobił to z miłości do Matki Bożej... – Ojciec Cyprian zawiesił głos i przez moment zatrzymał się jak nagranie wideo, które znieruchomiło na ekranie telewizora.

– Przyjechałem do panów – oświadczył dobitnie – bo obawiamy się, że mówi prawdę.

Dokładnie w tym samym czasie, niecałe dziesięć kilometrów na południe od siedziby IPN-u, na lotnisku im. Chopina wylądował samolot z Moskwy, a na jego pokładzie człowiek, którego w pewnych kręgach tytułowano Szamanem.

Nie pozwalał na używanie tego określenia w swojej obecności, oburzając się, że nie jest dzikusem z kościanym kółkiem w nosie, ale w głębi duszy uznawał to za pochlebstwo. Święcie wierzył w przywództwo duchowe i zdolność hipnotyzowania ludzi. Potrafił sprawić, że okazywali absolutną lojalność, wierność i dyskrecję. Właśnie na tym przez ostatnie dwadzieścia parę lat zbudował potęgę swojej organizacji. Chciał, aby nazywać ją Wspólnotą.

Wspólnota była imperium, jednak nikt poza Szamanem nie znał jej rozmiarów ani skali. Żadne z pięciorga szefów regionów nie wiedziało nawet, którądy przebiega granica między ich terytoriami. To samo dotyczyło ludzi stojących niżej w hierarchii. Szaman miał ich dwustu, może trzystu, ale jego podwładni nigdy nie spotykali się na zjazdach, zgromadzeniach czy imprezach integracyjnych. Mieli bezgranicznie wierzyć w przywódcę, robić swoje i trzymać język za zębami.

Wywiązowali się z tego bez zarzutu, również dlatego, że większość w ogóle się nie znała. Niewykluczone, że niektórzy

z nich jechali w jednym przedziale tego samego pociągu, byli na tym samym seansie kinowym lub odpoczywali leżak w leżak na plaży w Szarm el-Szejk, nie wiedząc, że ci obok też należą do Szamana.

Sytuację ułatwiał fakt, że Wspólnota oficjalnie nie istniała. Nie miała osobowości prawnej, centrali ani siedziby. Biur ani infolinii. Sekretarek, działu kadr ani księgowości. Strony internetowej ani REGON-u. Nawet numeru identyfikacji podatkowej, choć rokrocznie przynosiła wielomilionowe zyski.

Szaman dbał o nią osobiście. Osobiście też rekrutował specjalistów, bez których nie mogłaby działać jak należy, dlatego często wyjeżdżał do Rosji, na Białoruś i Ukrainę. Jego zaufani ludzie w Moskwie, Mińsku lub Kijowie znajdowali odpowiedniego człowieka i zapowiadali, że przyjedzie do niego gość z Polski. Szaman zawsze jechał sam i rozmawiał w cztery oczy. Nikt nigdy mu nie odmówił. Specjaliści kilka dni po jego wizycie pakowali walizkę i przenieśli się na jakiś czas do Zielonej Góry, Tczewa albo Radomia. Tam, gdzie wskazał Szaman.

Cenił specjalistów ze Wschodu – doświadczeni, nie znali języka, więc odzywali się tylko wtedy, kiedy musieli, i nie mieli wygórowanych oczekiwań. Ten, od którego właśnie wracał, był taki sam. Spędził rok na wojnie w Afganistanie, gdzie stwardniał, nauczył się słuchać rozkazów i nie zadawać pytań. Poza tym znał się na rzeczy. Warto było lecieć do Moskwy, a potem tłuc się przez trzy godziny wynajętym samochodem do Jegoriewska. Za to na miejscu wystarczył kwadrans rozmowy i na koniec krótki uścisk dłoni wyrażający wzajemną aprobatę warunków.

Szaman nie krył zadowolenia. Wychodząc z bramki w terminalu przylotów, dostrzegł kątem oka, jak zbliża się do niego starszy mężczyzna w białej koszuli i tanim garniturze. Przywitał przywódcę Wspólnoty z należnym szacunkiem i sięgnął po rączkę jego plastikowej walizki. Był kierowcą. Woził go od kilkunastu lat, dbał o sprawność i blask jego sa-

mochodów, znał swoje miejsce w szyku i odzywał się tylko wtedy, gdy zachodziła taka potrzeba.

Szaman nie uznał za stosowne odpowiadać na jego powitanie.

– Zaczekaj tu – rzucił krótko, oddalając się w kierunku toalet.

Wszedł do męskiej, odczekał, aż jakiś ciemnoskóry chłopak skończy suszyć ręce, po czym pochylił się nad rzędem umywalk i zbliżył twarz do lustra, uważnie przyglądając się swoim włosom. Miał obsesję na ich punkcie. Kupował najdroższe kosmetyki i odżywki, co dwa tygodnie korzystał z usług markowego salonu fryzjerskiego, do którego jeździł sto trzydzieści kilometrów do Wrocławia, a przynajmniej raz na kwartał odwiedzał renomowaną klinikę trychologii w Poznaniu. Jego włosy pieczołowicie tam badano, poddawano specjalnym terapiom leczniczym i przeszczepiano, o ile gdzieś pojawiło się parę milimetrów kwadratowych łysiny. Dzięki temu Szaman, choć kilka lat temu przekroczył pięćdziesiątkę, nadal miał czuprynę nastolatka.

Uznawszy po starannych oględzinach przed lustrem, że włosy nie ucierpiały podczas podróży samolotem, delikatnie przeczesał je palcami i potrząsnął głową, by odpowiednio je dotlenić, po czym wyszedł z toalety.

– Idź przodem – rozkazał kierowcy, a ten od razu ruszył w stronę parkingu podziemnego.

Kiedy tam dotarli, pilotem uruchomił pokrywę bagażnika audi A8L, umieścił w nim walizkę i otworzył tylne drzwi za fotelem pasażera.

Szaman zdjął lekki kozuch z jagnięcych skór, uszyty na miarę w Nowym Targu, gdzie Wspólnota miała swój silny ośrodek, rzucił na sąsiednie siedzenie i zajął miejsce w samochodzie. W uchwycie zamontowanym w podłokietniku dzielącym tylną kanapę czekał na niego kubek termiczny z ulubionym marcepanowym cappuccino, a w kieszeni przed-

niego fotela tablet z zestawem najświeższych wiadomości. Rano, przed wyjazdem kierowcy na lotnisko, przygotował je człowiek, który w hierarchii pełnił funkcję, jaką w każdej armii świata powierza się ordynansom. Był kimś w rodzaju hybrydy asystenta z lokajem. Na co dzień dbał o wizerunek Wspólnoty, ale jeśli sytuacja wymagała, by wyczyścić buty przywódcy albo zawiązać mu krawat, czynił to bez wahania.

Pasażer audi umościł się wygodnie, upił łyk kawy i kiedy auto opuszczało Okęcie, sunąc w stronę Raszyna, sięgnął po tablet, włączył go, nawiązał połączenie z siecią i dotknął opuszką palca ikony katalogu na środku ekranu. Wewnątrz znajdował się zestaw doniesień medialnych z kilku ostatnich dni, wszystko, co zdaniem jego człowieka powinno zainteresować ojca duchowego Wspólnoty.

Kierowca, zerkając dyskretnie w lusterko wsteczne, uznał, że prasówka przygotowana została jak należy. Pasażer wydawał się całkowicie zaabsorbowany lekturą. Nagle odłożył tablet i w jego twarzy zaszła jakaś przemiana. Kierowca spoglądał na niego co kilka sekund, spodziewając się poleceń. Intuicja go nie zawiodła.

– Stań na najbliższym parkingu – powiedział Szaman.

W tej samej chwili minęli centrum handlowe w Jankach i na pobliskim węźle drogowym kierowca skręcił w kierunku Sęcina. Po kilku kilometrach zatrzymał się w zatoczce sąsiadującej z niewielką leśną polaną. Miejsce gwarantowało spokój i odosobnienie, czego nie dało się powiedzieć o parkingach przy trasie katowickiej, zatłoczonych nie mniej niż obydwa pasy jezdni.

Kierowca ustawił przekładnię automatycznej skrzyni biegów w pozycji, która samoczynnie uruchamiała hamulec ręczny, i sięgnął do schowka na rękawiczki po paczkę cameli. Otworzył kartonowe wieczko, po czym bez słowa wyciągnął dłoń w kierunku tylnego siedzenia. Szaman wziął papierosa i pochylił się, aby skorzystać z zapalniczki samochodowej po-

danej mu sekundę później. Unikał palenia, bo mogło zaszkodzić włosom. Robił wyjątki tylko wtedy, gdy sytuacja tego wymagała. Kierowca doskonale wyczuwał te chwile i zawsze był na nie przygotowany.

Pasażer audi zaciągnął się dymem, a następnie otworzył drzwi i nie zważając na chłód, wysiadł z samochodu w samym swetrze. Zrobił kilkanaście kroków w stronę lasu. Wyglądał na spiętego i najwyraźniej intensywnie o czymś myślał.

Kierowca mimowolnie spojrzał na tablet świecący na tylnym siedzeniu auta. Wypełniał go tytuł, złożony tłustym czarnym fontem charakterystycznym dla tabloidów. Upewnił się, że Szaman nadal stoi odwrócony do niego plecami, odważnie wychylił się zza zagłówka i przeczytał półgłosem:

„Zamach na Matkę Boską Częstochowską”.